XXII. Kraków, 15 maja 1919 r. Nr. 10

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 7 kor. 50 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Zimny maj.

— Twoje słowa, luba! — są zimne!.. Inaczej mówiłaś do mnie rok temu.

— To też rok temu był i maj o wiele cieplejszy!...

W pensyonacie.

Pani nauczycielka skończyła właśnie wykład o kulistości ziemi. Uczenice stawiają rozmaite pytania, na które światłodawczyni daje odpowiedzi.

— To, proszę paniusi — rzecze panna Mania — gdybyśmy tak wydłubali w ziemi dziurkę, to widzielibyśmy co jest z tamtej strony, pod nami?...

— Tak! — odpowiada zagadnięta. — Ale to pytanie nie było na miejscu, powiem nawet, że ono jest nieprzyzwoite!... Pannie Mani tylko głupstwa kręcą się po głowie!

— A cóż mi się ma innego kręcić?... A, proszę paniusi, gdybyśmy tak natrafili z tamtej strony na morze, to ono wylałoby się do nas przez tę dziurkę?

— Naturalnie!... Ale dość już tych pytań! Cóż tam znowu chce panna Zosia?

— Proszę paniusi, jeśli ziemia jest okrągła, to w takim razie po tamtej stronie chodzą ludzie do góry nogami, a głową na dół!

— Pfe!... Jakże można!... Nie wszyscy ludzie, tylko, co najwyżej, mężczyźni — odpowiada, rumieniąc się, nauczycielka, stara panna, wyobrażająca sobie, zdaje się, samą siebie w tej niefortunnej pozycyi.

Ale cieszy ją to, że słowa jej nie poszły na marne, a uczenice zrozumiały jej wykład.

Powód rozwodu.

W kancelaryi parafialnej zgłasza się Wojtek, zamożny gospodarz, który niedawno dopiero pobrał się z Kaśką, córką wójta miejscowego i oświadcza księdzu proboszczowi, że ma zamiar starać się o rozwód.

Ksiądz probosz jest tem więcej zdziwiony, niż uburzony, gdyż zna obydwoje bardzo dobrze i wie, że to ludzie na miejscu, stara się też wszelkiemi siłami odwieść Wojtka od zamiaru.

Ale wszelkie usiłowania rozbijają się o prawdziwie mazurski upór proszącego o rozwód...

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, mój drogi — odzywa się wreszcie proboszcz — jaki jest właściwy powód tego kroku, bo się to musi napisać w podaniu do Rzymu.

— Ano, proszę jegomości — Wojtek na to — Kaśka jest niskiego wzrustu, ma więc krutką pierzynę, którą ją wywianowano, a ja jestem wysoki, więc mi co noc marzną nogi...

Co to może imaginacya!

(Autentyczne.)

Pewnej nerwowej niewieście ubzdurało się, że ma żabę w żołądku!... Goniła od lekarza do lekarza, łykała różne lekarstwa, ale jej to jakoś nie pomagało.

Wreszcie trafiła na właściwego specyalistę. Ten, poznawszy, z kim ma do czynienia, opukał ją, obsłuchał, wreszcie kazał prześwietlić promieniami Röntgena i orzekł, że żaba w samej rzeczy jest...

To pacyentkę ucieszyło. Oświadczyła, że niema to, jak zdolny lekarz, który się umie poznać na cierpieniu, nie tak, jak tamci, szarlatani.

Na razie postanowił Eskulap użyć lżejszych środków, gdyby one zaś nie pomogły, zapowiedział operacyę.

To już pacyentkę nieco przeraziło!

Nazajutrz według polecenia zgłosiła się u lekarza, a ten zaaplikował jej silny środek na wymioty. Skutek był rychły i tak gwałtowny, że lekarz uważał za stosowne trzymać w tym czasie nad miednicą głowę nieszczęśliwej pacyentki.

Z tej sposobności skorzystał też i niespostrzeżenie wypuścił na miednicę żywą żabę, którą miał już przygotowaną.

— A co?... Nie mówiłem, że jest?... — zawołał z tryumfem do niewiasty, której z radości aż się oczy zaświeciły.

Doznała ulgi, ale widocznie tylko chwilowej, gdyż w minutę zaledwie chwyciła się oburącz za okolicę żołądka i zaczęła żałośnie zawodzić, że ją tam boli.

— Ależ, pani dobrodziejko!... To wykluczone! — tłumaczył lekarz. — Żaba przecież jest już na miednicy.

— Tak!... — odpowiedziała. — Ale ona tam zostawiła młode!... Czuję, jak się ruszają! Boże! Jak ja cierpię!...

Lekarz nie stracił zimnej krwi i panowania nad sobą, choć mu się na śmiech zbierało. Podszedł do miednicy, wziął w rękę z całą powagą biedną żabę, nie wiedzącą nawet, za co ją tak męczą, zaglądnął jej tam, gdzie należy, raz i drugi, wreszcie rzekł:

— Pani jest w błędzie!... Pani się tylko zdaje... To jest samiec!...

Pacyentka odetchnęła i odeszła uradowana, ale, kto wie, czy przy jej wrażliwości, nie zalęgły się jej w krótkim już czasie... karakony w żołądku!

A te trudniej daleko wytępić!...

Aby geszeft szedł...

W hotelu na prowincyi chodzi od numeru do numeru żydek-domokrążca i nudzi, aby u niego kupowano.

A miał wszystko, czego tylko może kto potrzebować.

Przechodząc korytarzem, zauważył, że z jednych drzwi wychodzi jakiś młody człowiek. Przystępuje więc do niego i ofiaruje mu mydło, szelki, spinki, skarpetki...

— Nic nie potrzebuję!... — odpowiada nagabywany, starając się drzwi zamknąć.

— To może pan dobrodziej kupi to lusterko?... Bardzo tanie i w dobrym gatunku...

— Nie!...

W tej chwili żydek rzucił okiem na drzwi, z których wyszedł młody człowiek i ujrzał na nich przybitą żelazną tabliczkę z napisem: *Closet*. Pewny, że to nazwisko tego pana, zwraca się doń z najsłodszym, na jaki się mógł zdobyć uśmiechem:

— Więc pan dobrodziej nic nie kupi u mnie? Jak to może bicz?... Pański tatuś, starszy pan Closet, ja jemu znam bardzo dobrze, on mnie tak lubił, jak rodzonego brata, to on zawsze tylko u mnie wszystko kupował...

Baumgarten znowu w kłopocie.

Pan profesor wykładał o rodzajach i zauważył, że odnośnie do istot rodzaju męskiego używa się stale zaimka „ten". Mówi się „ten szewc", „ten krawiec" i t. d.

Pojął to widocznie Baumgarten, gdyż pyta:

A dlaczego si mówi, proszę pana psora, ta-picer, to-warzysz, to karz?...

Co mu pan profesor odpowiedział, o tem milczy historya.

Może i ma racyę!

Do księdza proboszcza przychodzi kobiecina i prosi, aby ten był łaskaw odprawić Mszę św. na intencyę opamiętania się jej męża, oddającego się nałogowo pijaństwu.

— Ale też prosiłabym — mówi — aby jegomość odprawili do świętej Katarzyny.

— Dlaczego do świętej Katarzyny? — tłumaczy jej proboszcz. — Może raczej do świętego Antoniego?

— E! Nie, proszę jegomościa!... Już ja ta wolę do świętej Katarzyny. To pewniejsze... Chłop zawsze z chłopem trzyma!

Dyabeł i baba.

(Bajka dla starszych dzieci).

Wiadomo, że gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła, że więc baba może czasem dać radę i dyabłowi, jako przemyślniejsza od niego.

Raz, dawne to już temu czasy, orał chłop w polu. Ale robota szła mu jakoś niesporo, nie mógł dokończyć tego stajanka, które zaczął w południe. A bał się do domu wracać, gdyż miał strasznie złą żonę, prawdziwą „babę z piekła rodem", co to nawet i dyabłowi dałaby radę...

W tem zmartwieniu, gdy na nic nie zdały się wszelkie wysiłki, chwyta się ostatniej deski ratunku i woła z rezygnacyą, zamykając jednak na wszelki wypadek oczy ze strachu:

— Dyable!... Dopomóż mi, a zapiszę ci mą duszę...

W tej chwili odezwał się w sąsiednim lesie głos puszczyka, zahuczał gwałtowny wiatr, a przed przerażonym chłopiną stanął bezpięty w kusym fraczku i pyta:

— Czego żądasz?

Chłopisko ze strachu nie mógł tchu złapać, ale, przypomniawszy sobie, że ma w domu żonę sekutnicę, przyszedł jakoś powoli do siebie i odzywa się cicho:

— Chciałbym, abyście mi pomogli zorać ten kawałek, bo sobie rady dać nie mogę!

— Dobrze! — dyabeł na to. — Ale pamiętaj, że twoja dusza, to już moja, nie twoja! Ja się od ciebie ani na krok nie ruszę i będę cię pilnował.

— A co na to powie moja stara? — robi chłop uwagę, drapiąc się frasobliwie za uchem.

— Niech sobie gada, co się jej podoba!... Jeśli nie chcesz, to wracam, skąd przyszedłem! Masz wóz i przewóz!

Chłop się znów zastanowił, ale znów przypomniał mu się dom i żona, więc rzecze:

— Niech już będzie!... Powiem starej, że przyjąłem cię za parobka, ale tylko za wikt, bo ona strasznie skąpa i obu nas wypędziłaby z chałupy!

— A gadaj sobie, co ci się podoba... Ale ładny to gospodarz, co się tak baby boi!

— Ho! ho!... Tak ci się gada, bo jej nie znasz! Ona i tobie dałaby radę!

— Zobaczymy!... Ale jeszcze jedno!... Pamiętaj sobie, że od jutra rana muszę mieć coś zawsze do roboty, bo ja nie mogę siedzieć bezczynnie. Urwałbym ci wtedy głowę, a tak, to ci zostawię jeszcze kilka lat życia!

— Już się nie bój! U mnie ci roboty nie braknie!

Podali sobie ręce na znak zgody, chłop siadł na miedzy, dyabeł podszedł ku koniom i gwizdnął. W konie jakby nowe życie wstąpiło. Dotąd ledwo się wlokły, teraz zaczęły parskać i wierzgać, posłuszne jednak każdemu skinieniu dyabła, który też w ciągu niespełna minuty gotów był z robotą.

Chłop patrzy i oczom nie wierzy. Żal mu wprawdzie, że duszę zaprzedał, ale z drugiej strony cieszy się, że ma takiego robotnika i już dziś wyobraża sobie, do jakiego to wkrótce przy jego pomocy dojdzie majątku.

Wrócili do domu. W bramie czekała już baba, zła widocznie.

— Czego tak długo siedziałeś tam w polu — pyta. — Pewnie znowu do karczmy po drodze cię zaciągło.

— Broń Boże! Wiesz, że ślubowałem od wódki!

— Ale nie od rumu!... A to co za przybłęda? — dodała, wskazując na rogatego, stojącego dla wszelkiego bezpieczeństwa za chłopem, bo już zwąchał pismo nosem i nie chciał się niepotrzebnie narażać.

— Nowy parobek! — odpowiedział. — Nie ma zajęcia, zgodziłem go tylko za wikt.

— I znów jedna gęba więcej do wyżywienia na te ciężkie czasy. A taka chuda bestya to lubi dużo żreć. Ale poczkaj, już ja się wezmę i do ciebie.

Dyabeł cofnął się mimowoli o krok i, kto wie, czy nie żałował, że się tu dostał.

Po kolacyi poszli spać. Oboje gospodarstwo ułożyli się w izbie, nowemu parobkowi wyznaczono legowisko na strychu, z czego był zadowolony, gdyż dymnikiem mógł się łatwo wydostać na świat szeroki.

Rano, skoro świt, staje dyabeł przed gospodarzem i mówi:

— Roboty!

Chłop pomyślał, czem ma go zająć, gdyż akurat tak się złożyło, że nie było nic pilnego do zrobienia, a pamiętał jego wczorajsze słowa. I zaprowadził go nad rzekę, kazał nawybierać płaskich kamyków, ale, aby były jednej wielkości i koloru, i wyłożyć nimi drogę do stodoły, oddalonej o jakie dwieście kroków od chałupy.

Pomyślał sobie:

— Będę miał spokój bodaj do południa!

Ale któż opisze jego przerażenie, gdy po kwadransie staje dyabeł przed nim i mówi:

— Roboty!... Tamto już gotowe!

— Zaraz!... Muszę zobaczyć, czy wszystko, jak się patrzy...

Niestety, nie mógł nic zarzucić i to mu się zaczęło nie podobać, ale jeszcze nie tracił nadziei, bo przypomniał sobie, że przez jego łąkę przepływa błotnisty potok. Kazał więc dyabłowi,

Z klubu poślic.

(Telegram własny „Bociana").

Ponieważ każde ciało musi, a przynajmniej powinno mieć głowę, a każdy klub jest ciałem, wprawdzie tylko politycznem, nic zatem dziwnego, że i Klub poślic postarał się o nią. Ma nawet nie jedną, ale tyle, ile członkiń.

Rozwiązanie tej piekącej kwestyi odbyło się lekko i bez bólu. Postanowiono, że przewodniczyć będą wszystkie członkinie w alfabetycznym porządku, zmieniając się co tydzień. W ten sposób żadna nie może się czuć pokrzywdzoną, jeśli bowiem nie jest dziś prezesową, będzie nią stanowczo za tydzień, lub najdalej za miesiąc.

Na ostatniem posiedzeniu miała złożyć stróżka sprawozdanie w kwestyi „mysiej".

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, zabiera głos jedna z poślic:

— Zgłaszam wniosek nagły!

— W kwestyi? — zapytuje przewodnicząca.

— W kwestyi zatkania dziury!

— Gdzie?.. Komu?... Czem?.. Dlaczego? — odzywają się zewsząd głosy.

Przewodnicząca dzwoni, nastaje cisza.

— Proszę o dokładne sformułowanie wniosku, byśmy wiedziały o co chodzi!... Jaką dziurę ma wnioskodawczyni w myśli?

— Bardzo przepraszam!... W moich myślach dziur niema! One są całe!

— W to nikt nie wątpi!... Ale zrozumie pani chyba, że mogło nas to zaciekawić!... Gdzież więc ta dziura?

— Tam! — to rzekłszy, wskazała kąt pokoju, którędy przed dwoma tygodniami dostała się na salę mysz i przerwała obrady.

— To o taką dziurę chodzi!... — odezwał się jakiś cienki głosik z pewnym akcentem rozczarowania.

— Proszę o wniosek! — przewodnicząca na to.

— Prezydyum Klubu postara się natychmiast o zatkanie dziury i użyje w tym celu stróżki...

— Co?... Mną dziurę zatykać?! — odzywa się stróżka oburzona, ale i przerażona. — Ja się na to nie zgodzę!... Ja jestem sobie prosta kobieta, ale nie do zatykania jakichś tam dziur.

Przewodnicząca dzwoni.

— Moja stróżko! Nie macie prawa się odzywać, gdyż nie zapisaliście się do głosu.

— Tak!... Nie macie głosu! — odzywa się jedna z pań.

— Ja nie mam głosu?... Proszę!... A skąd to pani o tem wie?... A ja pani mówię, że mam głos i to nawet bardzo ładny. Może pani co zaśpiewać? Mnie, gdym była młodsza, chcieli nawet wziąć do operetki. Ale ja wolałam pójść za mamkę do jednego hrabstwa...

Przewodnicząca dzwoni.

— To do rzeczy nie należy. Wniosek w sprawie zatkania dziury odsyła się do komisyi. Kto jest za tem, raczy rękę podnieść. Bardzo proszę!... Są na sali tylko cztery panie, a widzę podniesionych pięć rąk! Któraś z pań podniosła dwie!

— Ja!... Ale ja głosuję i za swą koleżankę, która dziś jest nieobecną, a mnie do tego upoważniła!

— To nie jest dopuszczalne!

— Tak?... Ciekawa jestem kto mi może zabronić?!

— Ja!...

— Niechże pani da spokój, bo na przyszły tydzień to ja będę prezesową i odwzajemnię się pani.

— No!... Dajmy spokój! Przechodzimy do porządku dziennego... Na pierwszym planie sprawa „mysia".

— Proszę o głos! Stawiam wniosek, aby tę sprawę, jako mniej ważną odłożyć do następnego posiedzenia, zająć się zaś czemś ważniejszem, nie cierpiącem zwłoki!... Wiadomo paniom, że warszawski magistrat zabronił cukierniom wpiekać ciastka... Jest to niesłychane nadużycie, gdyż ja, bez ciastek żyć nie mogę!

— Tak!... Tak!... Ma pani racyę!...

— I dlatego proszę, aby na najbliższem posiedzeniu Sejmu Klub nasz wniósł do laski marszałkowskiej energiczną interpelacyę w tej sprawie i zażądał, aby warszawski magistrat pociągnąć do surowej odpowiedzialności za to krzyczące nadużycie władzy urzędowej.

— Racya!... Ale tę sprawę omówimy na tajnem posiedzeniu... Wobec tego zamykam jawne!... Możecie już odejść, stróżko. Ale, proszę was, zostawiajcie zawsze na noc kota w tym pokoju. I z tą dziurą zróbcie porządek!... Najlepiej będzie, jeśli poprosicie waszego męża, aby ją wam zalepił...

— O!... On tam już wie, co do niego należy!...

Na tem posiedzenie jawne zakończono.

Z listów ojca i syna.

Kochany Tato!

Spotkało mnie nieszczęście! Idąc wieczorem przez miasto, przyparty naturalną potrzebą musiałem się z tem załatwić na ulicy. Nie wiedziałem jednak, że w tym właśnie domu był pensyonat wesołych panienek. Wiatr wiał właśnie z tamtej strony i ja, bez mej winy, nabawiłem się bardzo przykrej słabości. Ponieważ chciałbym przeprowadzić radykalną kuracyę, a to dziś bardzo dużo aosztuje, proszę bardzo o przysłanie mi bodaj dwustu koron.

Całuję rączki kochanemu Ojcu

wdzięczny syn

Stefan

* * *

Mój Synu!

List twój mnie bardzo zmartwił, choć wiem, że nieszczęście chodzi po ludziach, a nie po lesie! Zamiast pieniędzy, których sam nie mam, dam Ci dobrą radę... Idź pod aptekę i czekaj, aż wiatr będzie wiał z tamtej strony i powtórz to samo. co pod owym domem, a ręczę, że na drugi dzień będziesz już zdrów, jak zyba...

Sciskam Cię

Ojciec.

Ach, te obce wyrazy!

W towarzystwie u państwa Apfelbaumów rozmawiano o bardzo mądrych rzeczach, między innemi także i o kometach.

Pani Pufeles, niewiasta bardzo oczytana, ale chętniej mówiąca „kulturalnym" językiem niemieckim, niż polskim, gdy rozmowa toczyła się po polsku, nie mogła znaleźć w swej głowie wyrażenia odpowiedniego, a starała się mówić jak najpoprawniej.

Nachyla się więc ku córce i pyta cichutko:

— Róziu!... *Wie heist der Stern mit den langen Schwanz?*

A Rózia, zarumieniwszy się aż po białka, odparła szeptem:

— Izydor!...

Ogłoszenie.

Z powodu zmiany stosunków familijnych i politycznych tron królów pruskich za przystępną cenę do odstąpienia. Tanim kosztem może być przerobiony na pokojowy klozet dla zamożniejszej osoby. Wiadomość w Amarangen (Holandya) u Wilhelma v. Hohenzollern, emeryta.

---

by przełożył jego koryto bodaj o kilometr dalej, stare zasypał, zrównał i zasiał trawą. Ma tam czekać na miejscu, aż ona zejdzie...

Dyabeł zabrał się znowu do roboty, chłop poszedł do domu, ale coś mu mówiło wewnątrz, że będzie źle. Włóczył się więc z kąta w kąt i stękał i wzdychał, tak, że to nawet zwróciło uwagę starej, która zapytała, czy przypadkiem nie chory.

Odmruknął coś, czego ona wprawdzie nie zrozumiała, ale widocznie nie była ciekawą, bo dalej nie pytała.

Nie minęło więcej, jak pół godziny, dyabeł jest już z powrotem, zdyszany i spocony.

— Roboty!... Już gotowe...

— Trawa rośnie? — zapytał chłop.

— Tak!.. Już jest do pasa... Po południu można kosić!

— Dobrze! Zrobisz to!... Teraz możesz sobie odpocząć...

— Nie!... Ja chcę roboty, bo inaczej...

Chłop zbladł, zatrzęsły się pod nim nogi ze strachu, ale postanowił się bronić do ostatka.

Przypomniał sobie, że ma w komorze ćwierć maku i ćwierć prosa, poszedł tam czemprędzej, zmieszał jedno z drugiem i woła dyabła:

— Słuchaj!... Proso ma być osobno, mak osobno!... Zdrowe ziarnka osobno, uszkodzone osobno. Potem policzysz, ile ich jest.

— Dobrze!... Zaraz i z tem będę gotów.

Teraz biedny chłopisko pomyślał sobie, że zbliża się ostatnia chwila, wrócił więc do izby, aby się bodaj ze starą pożegnać. Ale nie wiedział, jak jej to powiedzieć, aby mu ona przypadkiem łba garnkiem nie rozbiła.

I stęka znowu i wzdycha...

Starej było tego widocznie już zadużo, stanęła bowiem przed nim, wzięła się pod boki i pyta jakoś łagodniej, niż zwykle:

— Wojtek!... Co tobie?...

Ten ton jej dodał mu jakoś odwagi. Powoli, słówko po słówku, nic nie dodając, ani nic nie ujmując, opowiedział jej całe zajście, pewny, że dopiero teraz będzie piekło...

Ale się zawiódł... Widocznie żal się jej go zrobiło, gdyż popatrzyła na męża jakoś dziwnie i rzekła, ale nie z furyą:

— Oj ty ośle stary!... Jak skończy tę robotę, przyślij go do mnie! Już ja go zajmę...

Chłopu oczy zaświeciły się z radości. Teraz był już pewny, że jest ocalony, czekał też spokojnie na kusego, który w samej rzeczy rychło się zjawił z swem stereotypowem odezwaniem:

— Roboty!... Tamto już gotowe!...

— Idź do gospodyni — chłop na to. — Ona ci da robotę.

Dyabłowi nie poszło to w smak, ale trudno. Jako parobek musi być posłuszny rozkazom chlebodawcy.

I poszedł.

A baba spojrzała nań z góry, sięgnęła gdzieś koło kieszeni i podając mu trzy włosy, ale nie z głowy, gdyż i krótsze i grubsze i jakoś skręcone, rzekła ostro:

— Siadaj tu koło okna i sprostuj je!... Ale się spiesz, abyś był gotowy jeszcze prze obiadem...

Dyabeł uśmiechnął się z lekceważeniem, uważając to za zabawkę, nie pracę, siadł i zabrał się zaraz do roboty, baba odeszła zaś ku piecowi.

Wziął włos w palce, wyprostował, a potem puścił, ale on skręcił się jeszcze bardziej. — Próbuje raz, drugi i trzeci, ciągle jednako, nawet coraz gorzej... Już jego samego zaczyna wściekłość brać, gdyż widzi, że jest bezsilny. Ale nie daje za wygrana, męczy się, aż poty nań występują. Wszystko na nic... Z jednym nie może sobie dać rady, a tam leżą jeszcze dwa...

Rozpacz go ogarnia...

Minęło mniej więcej pół godziny, podchodzi baba do okna i pyta:

— A co?... Już jesteś gotów?

On nie odpowiada, ale męczy ten biedny włos z coraz to większą wściekłością. Ale on nic sobie z dyabła nie robi i wciąż zwija się w kółko...

— Ty próżniaku jakiś! — baba na to. — To ty z jednym jeszcze sobie rady nie dałeś? Ja darmozjadów nie lubię! Albo robota, albo fora ze dwora... Patrz, ile tych włosów jest jeszcze do sprostowania!...

To rzekłszy, podniosła...

Ale dyabeł już nie czekał!... Rzucił włos na ziemię, zaklął, a że okno było zamknięte, drogę zaś przez drzwi odcinała mu baba, kominem wydostał się na wolność, rezygnując nawet z duszy chłopa, która była jego własnością niezaprzeczoną!...





— Czy w Grecyi wszystkie kobiety chodziły pół-nago?

— Tak jest!

— Musiały więc szalenie zarabiać, ale co im z tego przyszło, kiedy toalet wcale nie potrzebowały!



— Ty zawsze mi coś takiego kupisz! Patrzaj! Te pończochy są na mnie za krótkie.

— To właśnie bardzo dobre!... Oszczędność materyałów jest dziś wskazaną!



Matka: Uwiódł cię — powiadasz — Cóż on za jeden?

Córka: Nie wiem! Wtedy było zupełnie ciemno!

Matka: Ach! Ty lekkomyślna istoto! Więc nie spytałaś się nawet z kim masz przyjemność?!



— Gdzież ty się wybierasz w tym kostyumie?

— Na raut dobroczynny!... Połowę czystego dochodu przeznaczam na biednych!



— Hanusiu! Kto tu był u ciebie w kuchni?

— Panicz!

— Czego chciał?

— Pytał się czy wielmożnego pana tu nie było!



— Jak się objawia migrena u twojej pani?

— Gdy pana niema w domu, a pan porucznik przyjdzie, wtedy nie wolno nikomu wejść do sypialni!



Żebrak (do siebie): Oto kobieta, która mnie niegdyś zrujnowała. Ciekaw jestem, kiedy tego gawra na dziada wyprowadzi!



Pchła, lekarz i kochanek — równe u kobiet mają przywileje!

Ferdek Eleuteryk.

Najprzyjimnijszym miesiącem w całym roku jest maj. Cała natura sie zieleni, a poeci piszą wirsze, słowiki śpiwają, serce kużdygo obewatela bije jakoś rażnij i mocnij, nic tyż dziwnygo, że jak ś. p. Zagłoba był mówioncy, nawet zwykły wiór do wióra czuje wtedy miłosne afekty. Jednym słowem maj to misiąc miłości, nowych zimioków z kwaśnym mlikiem, a dla starych emerytów karlsbadzkij wody.

Ale tygo roku nie jest tak, jak było po inne lata. Że sie ludzie kochają, to prowda, bo bez miłości wyginełaby cało ludzkość, nima jednak ani kwaśnygo mlika, ani zimioków, a karlsbadzkij wody nikt nie jest pijoncy, bo i pocóż se być kantyne z przeproszyniem czyszczoncym, skoro ona nie jest niczym zapaskudzono. Bez cztyry roki, a nawet robi sie już piąty, jesteśmy na dyjecie wojennyj, cysarsko króleskie posty wyłażą nam już bokami, obeńdzie sie tyż i bez sztucznygo reperowanio zdrowia. I słowiki tyż nie śpiwają, bo zachrypły z zimna i ciągłyj wilgotności, a peoci nie są wirszy piszoncy, bo papir zadrogi. Jednym słowem taki maj, to nie jest żoden maj.

Bo i co mi to za przyjimność naciongać na siebie jesiotry, owijać szyje szalem, wdziwać kalosze i turgać pod pachą parasol. A taki tego roku mieliśmy początek maia, więc chyba kużdy musi być przyznajoncy, że z takim majem to z przeproszyniem do bani!

A o maju, jako som poeta, śniłem takie sny majowe. Myślołem, że se codziń poknajom na Panińskie Skały, do naszygo krakoskigo lasu, tam se kucne w krzokach, zdala od zgiełku i gwaru wielkomijskigo i zaczne tworzyć... Ale z tygo nici. Siedzi sie w domu, z przeproszyniem na stołku, abo na kanapie, jeżeli sie jest burżujem i mo sie ją, a ino waryjaty na taką paskude są po Panińskich Skałach gonionce, skąd se zamiast natchninio poetyckigo i zdrowio możno ino kichanie, kaszel i wszelakie inaksze zakatarzynia być przynoszoncym.

Swoją ściżką musze być przyznajoncym, że majestrot krakoski o Panińskich Skałach nie jest wcale panintajoncy. Skoro to mo być ludowy park, przeznaczony dlo obewateli jako mijsce wytchnienio i odpoczynku, to w pirszym rzędzie trza go było przeniść bliżyj miasta, bo zanim sie tam obewatel jest dostajoncy, to tymczasem sie zmęczy. Nie powinno tyż być po drodze ani jednyj kirni, gdzie możnoby wdepnąć, bo to utrudnio bardzo dojście do cylu.

Zato na mijscu powinno sie być urzondzajoncym filie Hawełki i Wyncla dlo burżujów, a dlo preletaryjatu Siapsi, aby wszelaki noród był wiedzoncy poco tam knaje. W ostateczności możnoby było bodaj filie wojennyj głodnyj kuchni tutoj zaprowadzić (podawaliby potrawy zamiast na świżym maśle, na świżym powietrzu, a to podobno mo być bardzo zdrowe...), aby se kużdy mógł być swoje mdłe ciało wzmacniajoncym i mioł siły do powrotu do domowygo ogniska, w które tymczasem dmuchała ino jego lepszo połowa sama, o ile jij w tym kto inny nie był pomagajoncym.

Kużdymu obewatelowi rozszyrzonygo Krakowa musi być naturalnie pozwolonem, jako właścicielowi tygo lasu i polowanie... na sarny. Czworonożnych nima, są zato dwunożne, a z temi łatwij dać se rade, gdyż nie potrza brać ze sobą dubeltówki, wystarczy, jeżeli sie jest nie zardzewiały pistolet posiadajoncym.

Ponieważ słowików jest coroz mnij, kozoł majestrot wszyćkie gawrony z plantów ewakuować i przeniść na Panińskie Skały. Tam bedą one markierowaγ słowiki, choć nie są tak ładnie jak one śpiwajonce. Ale tyż i nie kuždy radca mijski jest zawdy mądrze godajoncy, jakby sie tygo ktoś może spodziwoł.

Letnią pora możnoby tutoj i posiedzynie Rady mijskij być urzondzajoncym, bo skoro starożytni Grecy mogli obradować na rynku, nowożytni Krakowianie mogą radzić w lesie, co im może wyjść jedynie na zdrowie.

Ponieważ las na Panińskich Skałach jest własnością całygo miasta, więc tyż kużdy obewatel może sie zupełnie słusznie być uważajoncym za posiadacza pewnyj jego czyńści, wolno mu więc wybrać sobie gałąź, która mu sie najbardzij jest podobajonca i na nij sie powiesić, a nikt go za to nie może być do odpowiedzialności pociongajoncym. Chodzi ino o to, aby sznurek był przedwojenny, nie papirowy, o co sie majestrot powinien być starajoncym i takowygo obewatelom dostarczajoncym.

Osobny „cichy kącik" przeznaczony bedzie dlo paskarzy, aby tutoj mogli być wypoczywajoncy po trudach obewatelskigo swygo żywota. Mijsca dlo nich nie braknie, na jednym drzewie zmieści sie nawet po kilku, a jeden drugimu nie zrobi konkurencyji.

W ten sposób Panińskie Skały mogą być łączące piekne z pożytecznem, ale abyśmy mogli z tygo być korzystajoncymi, trza koniecznie, aby one były bliżyj miasta i aby była pogoda. A ponieważ nima ani tygo ani tamtygo, dlotygo nojlepij je sprzedać, hopy wzionć i włożyć do kasy, a już znajdzie sie taki co je ukradnie i bodaj on bedzie mioł z tygo jakowyś pożytek. Amen.

Poezya i proza.

(Z życia akademickiego).

Krawiec: Tak?... Więc znowu po próżnicy drapałem się aż na piąte piętro!...

Akademik: Jakto po próżnicy?! Spojrzyj pan, jaki cudny widok roztacza się z mego okna... Patrz, jak długo chcesz, ja za to nic nie żądam!...

Przytomność umysłu.

Na wakacye do domu rodzicielskiego zjechała jedyna pociecha, synalek, który zapisany był wprawdzie w Krakowie na prawo, ale chodził on przeważnie na lewo.

Troskliwa mama zaraz po przyjeździe synka poddała jego garderobę gruntownym oględzinom i nadzwyczaj była zaciekawiona, co też może znaczyć przyszyty do paltota kawałek płótna, a na niem wypisany jakiś numer.

Pyta więc synka, co to oznacza, a ten, nie przyznając się bynajmniej, że to numer z lombardu, gdzie płaszcz był zastawiony, odpowiada z najspokojniejszą miną:

— To, proszę mamy, znak z garderoby teatralnej. Wtdocznie zapomnieli odpruć. Potrzeba mamie wiedzieć, że w Krakowie nie wolno w teatrze siedzieć w płaszczu podczas przedstawienia.

To tłumaczenie przyjęła mama do swej wiadomości.

Po chwili wyciąga jednak z kufra parę spodni i widzi i na nich taką samą szmatkę z numerem. Pyta więc poważnie już zaniepokojona:

— Jak to?!... Więc w Krakowie podczas przedstawienia musi się i spodnie zdejmować i oddawać do garderoby?

Na to synek już nie odpowiedział. Znana jego przytomność umysłu tym razem zupełnie go zawiodła.

Szczęsny.

Ot sobie ballada, jakich wiele...

Była młoda i nie brzydka, więc też garnęli się do niej starzy i młodzi, żółtodzióbe studenciki gimnazyalne i inne, misterne kadeciki i jednoroczniaczki, nierzadko nawet i panowie oficyery, a z pośród nieumundurowanej „bandy" koncesyonowani majstrowie murarscy, podający się za inżynierów i budowniczych, filozofowie, udający profesorów gimnazyalnych, medycy, tytułujący się doktorami i wielu innych, za młodych, aby pociągać stanowiskiem i dochodami lub też za starych, aby pozyskać bezpłatną miłość.

Wszyscy oni bowiem, starzy i młodzi, goli i zamożni, piękni i brzydcy, łaknęli miłości i przylatywali, aby uszczknąć coś z tego dziewiczego kwiatu, rozkoszować się jak owady jego kielichem, okrążając go, muskając, wysysając z niego słodycz swemi mackami, lub liżąc wonne ścianki kwiatu i upajając się szałem dotyku, smaku, powonienia lub choćby tylko wzroku.

Im większe miał który szanse młodości lub majątku, tem większymi bywał darzony względami i tem większymi, a nie trudnymi szczycił się tryumfami.

Niestety, nikogo z nich nie można było dociągnąć do... ołtarza, z przed którego „odwalał kitę" umiejętnie każdy, czyto, że nazbyt już nasycony, czy też, że obawiając się nazbyt licznych wspólników... po ślubie.

A tymczasem latka biegły, jako, że nawet najpiękniejszej kobiecie nie udało się jeszcze skokietować czasu, tego jedynego potentata męskiego rodzaju, który mimo tej swojej „potencyi" pozostał nieczuły na niewieścią kokieteryę.

Trzeba się było chwycić czegoś bardziej konkretnego, dla zabezpieczenia jakichtakich podstaw materyalnego bytu na starość, lub przynajmniej dla stworzenia sobie parawanu przed złośliwymi językami, przy ubocznem zarobkowaniu uszczęśliwianiem bliźnich przekwitającą pełnią swoich wdzięków.

Została więc boną.

I znów popłynęły latka, równie bezowocnie, mimo, iż w tym drugim okresie jeszcze więcej precyzowała swoje zabiegi, przyciągnąwszy do siebie pewnego dygnitarza wojskowego, po którego każdej wizycie bardzo gorliwie zawsze poprawiała okrycie łóżka, używanego ku siedzeniu w braku wygodnie wyścielanych foteli. Pracowała zatem nader skrzętnie, a do tego i codziennie zmieniała bieliznę i wymywała się cała, do czego tem więcej miała sposobności, że wreszcie rzuciła się śladem swych koleżanek na sztuczkę chwytania męża wśród rannych i pseudo-rannych i została pielęgniarką w pewnym wielkim szpitalu „pod kozami", gdzie z takim zapałem kąpała się z pewnym Węgrem, iż nigdy nie można jej było wynaleźć dla użytku innych chorych, mniejszymi względami się cieszących. Że zaś swojem zamiłowaniem do czystości zanadto wyróżniała się od reszty otoczenia i gdy ponadto zanadto zapominała o zbawieniu swojej duszy, któregoto zbawienia szafarzem w tymsamym szpitalu był pewien młody kapelan, wyrzucony z łaski wspaniałomyślnej pielęgniarki przez owego Węgra, poproszono ją pewnego pięknego poranku, iżby powróciła do swego dotychczasowego zawodu guwernantki, co też z konieczności uczyniła.

Na nowej posadzie ściągnęła do siebie młodego pastora tejsamej miejscowości, któryto pastor był z należytem uznaniem dla jej pięknej i codziennie zmienianej bielizny i przy każdej do tego sposobności oświadczał gotowość do ożenienia się, ale cóż, kiedy już był żonaty, a żona ani rusz nie chciała umrzeć.

Ta miłosna Odyssea i martyrologia biednego dziewczątka, w międzyczasie już dawno pełnoletniego, ale zato niesłychanie doświadczonego w zakresie używania pigułek przeciw miłosnemu zatwardzeniu byłaby może jeszcze z dwieście lat trwała, gdyby nie opatrznościowe zrządzenie bogini Wenery, nigdy nie opuszczającej swoich wiernych córek, z zapałem poświęcających się jej kultowi.

Za tej to tedy władczyni zrządzeniem zdarzyło się w pewnem stołecznem mieście, iż pewien ojciec miał trzech synów, z których dwaj byli mądrzy, a trzeciemu było na imię Feliks to jest Szczęsny.

Ten to szczęśliwiec poznał oną dziewicę w trakcie wykonywania swego zawodu, poznał, zakochał się — no i wreszcie wziął i ożenił się ku niepomiernej uciesze pięciuset dotychczasowych narzeczonych onej dziewicy, którzyto też narzeczeni przesłali oblubieńcom w dniu ślubu wspaniałą kolekcyę najrozmaitszych, nierzadko nader cennych upominków, a ponad drzwiami powracających od ślubu oblubieńców urządzili przepiękny transparent, na którym widniał złotemi głoskami napis:

„Tu Felix... nube!... (to znaczy: „chcesz się żenić przyjacielu, to się żeń...").

Po ślubie zaś urządziła panna młoda swoje wspaniałe apartamenta małżeńskie ku przyjęciu licznych gości, z którymi wpływała w gniazdko oblubieńców formalna rzeka pieniędzy, dostatków, przepychu i awansów.

Czyż wobec tego zaprzeczy ktoś szczęścia owemu Szczęsnemu Feliksowi?...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Najmilsi!

Że siedzę ciągle w Paryżu, w tem chyba niema nic dziwnego. Konferencya pokojowa radzi ciągle, ponieważ zaś jestem jej męskim członkiem czynnym, muszę robić to samo, co i moi koledzy, to jest radzić, o ile mnie kto o radę zapyta. Na razie zastępuję w radzie czterech nieobecnego Orlanda i mogę śmiało powiedzieć o sobie, że jestem jako owe piąte koło u wozu, którego się używa w krytycznej chwili, gdy się zepsuje jedno z czterech, w stanie czynnym będących.

Pan Orlando pogniewał się na Wilsona i to podobno całkiem seryo, a poszło im o port w Rjece, który Wilson obiecał południowym Słowianom, choć Włosi mają nań apetyt. Ale chyba trudno zaspokoić apetyty wszystkich. Gdyby się chciało uczynić zadość tylko żądaniu Czechów i Włochów, cała Europa dla nich nie wystarczy. A Ukraińcy wtedy gdzie?... Przecież i oni z przeproszeniem sroce z pod ogona nie wypadli i ich żądania muszą także być uwzględnione.

O tem rozmawiałem nawet z panią Wilsonową, która podziela zupełnie moje zdanie i, muszę przyznać, ogromnie nas, Polaków, chwali, że koalicyi nie przysparzamy kłopotów.

Onegdaj dopiero odezwała się do mnie w te słowa:

— Już ja powiadam, że niema chyba na świecie spokojniejszego narodu, jak wy, Polacy. Ile to wrzasku robią ci Włosi o jakąś tam głupią Rjekę, a wy, choć wam się należy i Gdańsk i Pomorze i oba Śląski i Spisz i Orawa i wschodnia Galicya, siedzicie cicho!... To mi się podoba i to wam będzie kiedyś policzone!

— A kiedy? — zapytałem ciekawie.

— Tego panu powiedzieć nie mogę, ale, że będzie, w to wątpić nie należy...

Otucha i nadzieja wstąpiła w moje serce, które z radości tak nabrzmiało nagle, że omal nie pękło. Chciałem o tem zatelegrafować natychmiast do kogoś, ale sobie pomyślałem, że Wam chyba wszystko jedno, kiedy się o tem dowiecie, wcześniej czy później. W każdym razie lepiej późno, niż nigdy. Zresztą w danej chwili był właśnie telegraf drutowy i bezdrutowy zepsuty, a to od chwili, gdy delegat czeski wysłał stąd do Pragi depeszę w swym rodzinnym języku, skutkiem czego druty telegraficzne w kilku miejscach popękały. Bałem się nadto, by Wam zbytnia radość przypadkiem nie zaszkodziła, a nie chciałbym mieć niczyjego zdrowia na sumieniu.

W Radzie czterech jestem naturalnie referentem spraw polskich i zabiegam głównie o to, abyśmy otrzymali Gdażsk. Jeśli mi się to uda przeprowadzić, w takim razie postaram się i oto, abyśmy dostali i korytarz, mający prowadzić do Gdańska. A musi on być o ile możności jak najszerszy, abyśmy się tam wygodnie pomieścili. Potem pomyślimy i o reszcie, to jest o jednym i drugim Śląsku, Spiszu, Orawie, Galicyi wschodniej i t. d. Wychodzę jednak z założenia, że wielkie rzeczy tworzy się pomału, że się więc spieszyć nie powinno.

Tu się wogóle nikt nie spieszy!... Zapowiedziano, że delegaci niemieccy przybędą do Wersalu na dzień 25 kwietnia, aby podpisać warunki przedwstępnego pokoju, potem ogłoszono, że na pierwszego maja będzie już wszystko w porządku, wreszcie odłożono załatwienie na czwartego maja, mówiąc: „Jeśli nie wtedy, to chyba nigdy!“

Ale też i na tem koniec. W chwili, gdy ten list do Was piszę, nad warunkami pokoju się ciągle radzi, a pani Wilsonowa powiada do męża:

— *My dear Woodrow!*... Nie potrzebujesz się spieszyć! W domu dzieci nie płaczą. Zresztą Paryż bardzo mi się podoba, a ten Klapa taki sympatyczny! Ogromnie chciałabym mieć podobnego do niego synka!

Ponieważ mówiła to w mojej obecności, jako grzeczny kawaler, wypełniający w lot żądania płci nadobnej, zawołałem:

— O!... Jeśli pani prezydentowa dobrodziejka sobie tylko życzy, to ja w każdej chwili jestem gotów. Ale wątpię, czy w naszym wieku...

Uciąłem, gdyż Wilson popatrzył na mnie jakoś niewyraźnie, a bynajmniej nie mam ochoty z nim zadzierać, co mogłoby pociągnąć za sobą różne niepotrzebne komplikacye i odsunąć znowu sprawę ostatecznego zakończenia wojny i zawarcia pokoju na czas nieograniczony. Zauważyłem, że jest on nieco zazdrosny, choć o mnie może być zupełnie spokojny. Ja mu z pewnością nie wlezę w kapustę, której mi jeść nie wolno.

Wracając jednak do Niemców, którzy siedzą sobie w Wersalu, muszę donieść, o czem może nie wiecie, iż jednym z powodów opóźniania się podpisania warunków pokojowych była i ta okoliczność, iż okazało się, że kilku z delegatów niemieckich jest niepiśmiennych, wobec czego na tak ważnym dokumencie, jakim będzie traktat pokojowy, musieliby się podpisać znakiem Krzyża świętego, a przecież to nie wypada. Wobec czego na gwałt uczy się ich pisać, co nie przychodzi z taką łatwością, jak w młodym wieku, gdy tajniki wiedzy można wbijać w głowę także i odwrotną stroną. Gdyby zresztą i do tego nawet przyjść miało, kto wie, czy zdałoby się to na co, gdyż ta ich „odwrotna strona“ ogromnie w czasie wojny ucierpiała, i można o niej śmiało powiedzieć, że jest w nieporządku.

Wogóle na brak zajęcia narzekać nie możemy. Każda chwila jest wyzyskana i to tak w dzień, jak i w nocy. Ja naprzykład tak się już do czynnego życia przyzwyczaiłem, że gadam nawet we śnie, nie mając czasu na należyte wygadanie się za dnia. Ale to jest w naszej rodzinie dziedziczne, gdyż, o ile pamiętam narzekały na to zwłaszcza moje krewne, tak bliższe, jak i dalsze.

Z chwilą, gdy się Orlando przeprosi i wróci, a jest to lada dzień spodziewane, będę mniej zajęty, znajdę więc więcej czasu na załatwienie innych interesów i dokładniejsze potem zdanie z nich sprawy, jednem słowem, poprawię się, gdyż nie wątpię, że jeszcze długo posiedzimy sobie w Paryżu. Jak dotąd, to nikt jakoś nie ma ochoty do wyjazdu, a każdy utrzymuje: „Albo mi tu źle? Radźmy dalej!“

Radzimy też i nad tem i nad tamtem i nad czemś jeszcze innem, słowem jest mowa *de omnibus rebus et quibusdum aliis*, co stanowi temat nie mogący być nigdy wyczerpanym.

I to jest także jednym z powodów, że tak przeciągają się obrady konferencyi pokojowej, a świat posądza nas, że czynimy to dlatego, by jak najdłużej pobierać dyety... To jest kalumnia, na nas rzucona, gdyż my wogóle dyet nie pobieramy żadnych, zresztą każdy z nas jest idealistą, a nie materyalistą i żadnej wagi nie przywiązuje do marnego kruszcu lub papierów, czego daje dowód, rozrzucając je wokół, o ile je naturalnie ma. A jeśli gdzie, to właśnie w Paryżu znajdzie się zawsze do tego dość sposobności. Za wszystko trzeba płacić i to bardzo słono. Bilet bankowy jest najlepszym listem polecającym do pięknej Paryżanki. Przy jego pomocy trafisz u niej wszędzie, nawet do... serca.

Wobec tego nie zapominajcie o mnie i przysyłajcie jak najczęściej i jak najwięcej monety, w jakiej chcecie walucie, aby mi nie brakło na opędzenie nadzwyczajnych wydatków, które stale towarzyszą życiu każdego polityka i dyplomaty. Po powrocie złożę Wam należycie udokumentowany rachunek. Bywajcie zdrowi!

Klapa.

Siła przyzwyczajenia.

Z chwilą, gdy po ukończeniu wojny powrócili do kraju mężczyźni, wiele kobiet utraciło posady, jakie zamiast mężczyzn pełniły w tym czasie.

Między innemi utraciło posadę wiele konduktorek tramwajowych, które zastępowały swych mężów, gdy oni zbierali laury na „polu chwały“.

Jednego z nich pyta niedawno znajomy:

— I cóż tam pańska żona?... Nie przykrzy się jej teraz w domu?

— Nie — ten mu na to. — Dość jest do roboty, więc nie ma czasu o tem myśleć. Ale ja mam z nią kłopot, zwłaszcza w nocy...

— W nocy?

— Tak!... Tak przejęta była swym zawodem, że i teraz przez sen woła od czasu do czasu: „Jazda!“ i chce ciągnąć za dzwonek... A ja skutkiem tego spać nie mogę.

Biedny ten Baumgarten.

(Z wspomnień szkolnych).

Baumgartena uczono zawsze i wbijano mu w głowę i inną część ciała, że na każde pytanie profesora musi zawsze odpowiedzieć, gdyż w przeciwnym razie dostanie dwóję, a potem ojciec ma kłopot, chcąc przekonać pana profesora, że syn nie jest tak głupi, jak wygląda...

Zdarzyło się, że profesor wywołuje Baumgartena i każe mu odmieniać wyraz „potok“, ten zaś recytuje natychmiast!

— Potek, potka, potkowi...

— Jak?... — yrzerywa profesor.

Baumgarten nie dając się zbić z tropu, powtarza tak samo, ale w bardziej przyspieszonem tempie...

— Źle!

— Proszę pana psora, mnie mama mówiła, że „potek“ to si odmienia tak samo, jak „kotek“ albo „płotek“...

— W takim razie odmieniaj „sucha mucha“!

— Sucha mucha, suchy muchy, susze musze...

— Źle!... Kto ciebie tego nauczył?

— Proszę pana psora, w gramatyce stoi, że przymiotnik odmienia się tak samo, jak rzeczownik, a „mucha“, to si tak odmienia, jak ja potrzebowałem mówić!

— Jesteś osioł!

— Jestem osioł, jesteś osioł, jest osioł, jesteśmy osioł, jesteście osioł, są osioł — recytuje Baumgarten, jak najęty.

— Czyś zwaryował? — wyrywa się z ust zniecierpliwionego pedagoga.

— To jest zdanie „pitajne“...

— Siadaj!

— Siadajcie! — dodaje Baumgarten zawsze liczbę mnogą, aby go kto nie podubiegł.

I kto wie, jak długo byłaby trwała jeszcze ta naukowa dysputa, gdyby w międzyczasie nie był się odezwał głos dzwonka.

Biedny Baumgarten dostał dwóję, ale tylko dlatego, ponieważ pan profesor jest antisemitą.

⊙ ⊙

Straszny wypadek.

— Wyobraź sobie, co za wypadek!... Moja żona przez nieostrożność przewróciła maszynkę spirytusową i opaliła sobie wszystkie włosy!...

— Jakto?!... I na głowie także?...

Słuszny powód oburzenia.

Przed kościołem parafialnym siedzi stara babina i odmawia litanię do Matki Boskiej.

Gdy wygłosiła słowa „Źwierciadło sprawiedliwości“, wchodził właśnie do kościoła pan burmistrz i, biorąc to widocznie do siebie, za dowolony dał żebraczce dziesięć centów. Z ust jej posypały się pod adresem głowy miasta błogosławieństwa, gdy zniknął za drzwiami, rozpoczęła dalszy ciąg litanii i tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że następny wiersz „Stolico mądrości“ przypadł na zjawienie się nauczyciela, „Przyczyno naszej radości“ na wejście dyrektora teatru.

I jeden i drugi, podobnie jak pan burmistrz dali po szóstce, babka była tem rozanielona i nastrojona bardzo przewielebnie.

Zażyła sobie dla kurażu tabaczki i kontynuuje litanię z coraz to większem nabożeństwem, to jest coraz głośniej.

Właśnie wyrzekła słowa: „Naczynie duchowne“, gdy w tem nagle i niespodziewanie spadł parasol na jej głowę raz i drugi, a równocześnie odezwał się zirytowany głos żeński:

— A ty, małpo jakaś, skąd wiesz, że ja jestem księża gospodyni i dlaczego mnie publikujesz?...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego



— Nie odchodź jeszcze! Gotowam przypuścić, że zdradzasz mnie ze swoją żoną!...